

# Urodzony w Związku Radzieckim

Krzysztof Gottesman

Różnie ich nazywaliśmy. W szkole, w domu, na podwórku, na uczelni, w pracy, oficjalnie i prywatnie. Ruskie, Kacapy, Sowiety, Moskale. Jak sięgam w głąb pamięci, nie pamiętam określenia z niewielką choć dozą sympatii. Najcieplejsze było zimne „Rosjanie”. Ale też nie wyobrażaliśmy sobie życia bez Bułhakowa i Dostojewskiego, później Solżenicyna i Grossmana – byli częścią naszej edukacji, kształtowali wyobrażenia o wielkim narodzie i wielkim kraju. I potwierdzali nasze przekonania, jaki jest straszny i inny.

**B**ylem niezmiernie zdziwiony, gdy jako bardzo mały chłopiec zobaczyłem dowód osobisty swojego ojca. Wiedziałem, że urodził się we Lwowie, pięknym mieście Jana Kazimierza. Opowiadał o własnych doświadczeniach w trudnej historii miasta, pełnej walk i konfliktów z Ukraińcami, o żydowskich pogromach. Wspominał też o endekach i polskich kółkach socjalistycznych, Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej i kilku starszych kolegach, którzy wstąpili do nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. I o ucieczce na Zachód, gdy w 1939 roku wkroczyli tam Sowietci i zaczęli zaprowadzać swoje porządki. A w dowodzie ojca przeczytałem, że urodził się w Związku Radzieckim. We wrześniu roku 1918! Z czasem dowiedziałem się, że wszyscy, którzy urodzili się na ziemiach polskich, które po II wojnie światowej Wielka Trójka przydzieliła Związkowi Radzieckiemu, mieli taki wpis w dowodzie. Kiedyś z ciekawości poszukałem odpowiedzi, jakie miejsce urodzenia ma wpisane w dowodzie urodzony w latach trzydziestych mieszkaniec Wrocławia, który po wojnie pozostał w tym mieście. Breslau, Niemcy, III Rzeszę? Może NRD? Nie. Oczywiście Wrocław.

*Afawit my uże znajem,  
Uże piszem i czytajem,  
I wsie bukwy po pariadku,  
Bez aszybki nazywajem.*

Tego wierszyka – po blisko pół wieku wciąż go pamiętam, choć dziś potrafię napisać tylko w polskiej transkrypcji i być może z błędami – uczyłem się w szkole podstawowej. Jak wszyscy wówczas lekcje rosyjskiego zaczynałem w piątej klasie i do matury miałem w każdym tygodniu co najmniej jedną godzinę. Co z tego zostało? U większości z nas w głowach nic, mało kto z mojego pokolenia potrafi po latach po rosyjsku powiedzieć bardziej skomplikowane zdanie. Mam oczywiście kolegów, którzy wybrali rusycystykę, kochają język, kulturę i zazwyczaj także Rosjan. Ale jest ich naprawdę bardzo niewiele. I jeszcze jedna prawidłowość, być może krzywdząca, i która mnie akurat tak mocno nie dotknęła, ale w opowieściach i wspomnieniach moich kolegów jest silniej obecna. Bywało, że rosyjskiego uczyli nauczyciele szczególnie antypatyczni, często lepiej mówiący po rosyjsku niż po polsku i zaangażowani politycznie po czerwonej stronie. Nie lubiliśmy tych lekcji, nie przykładaliśmy się do nauki. Pewnie to głupio brzmi,

ale w tym oporze był jakiś polityczny i patriotyczny podtekst.

Jeszcze bardziej był on widoczny na lekcjach historii i wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Druga połowa lat sześćdziesiątych, a zwłaszcza lata siedemdziesiąte, to nie był już czas – zwłaszcza w centrum stolicy – gdy za wzmiankę o 17 września groziły wyrzucenie ze szkoły, wizyty smutnych panów i kłopoty rodziców w pracy. Oczywiście, gdy takie pytania stawały się regułą i wyglądały na zorganizowaną akcję, zaczynały się problemy. Ale proste pytanie, co się wydarzyło 17 września 1939 roku, uchodziło raczej bezkarnie. Przypominam sobie dwa typy nauczycielskiej reakcji na takie pytania. Pierwszy prezentował nauczyciel – jak nam się wydawało – starszy, bo pewnie miał z czterdzieści kilka lat. Surowy, w garniturze z kamizelką, nie dopuszczał do jakiegokolwiek dyskusji. Związek Radziecki wkroczył na polskie ziemie wschodnie, by ochronić bratnie narody białoruski i ukraiński. Żadnego tajnego protokołu nie było. Kapitulowaliśmy szybko, tym bardziej że za karę zawsze mogliśmy zostać spytani o mniej atrakcyjny temat. Drugi nauczyciel był znacznie młodszy, tuż po studiach. Mówiono, że był uczestnikiem studenckiego Marca i miał z tego powodu kłopoty. Typ równiachy.

– O co wy pytacie, przecież sami wiecie, jak było, ja też wiem – odpowiadał na nasze pytania. I też nie dopuszczał do dyskusji, tyle że nie sprzedawał, jak tamten, kitu i nie żądał kłamliwych odpowiedzi.

Obraz Rosji, Rosjan i Związku Radzieckiego kształtowała nie tylko szkoła. Oprócz domu i rodzinnych – najczęściej tragicznych – doświadczeń, wielki – jeśli nie decydujący – wpływ miały książki. Również te ze szkolnych lektur, z *Ludźmi bezdomnymi* na czele. Dostojewskiego, Bułhakowa, Gogola, *Listy z Rosji* de Custine’a, Babla, Okudżawę, Bunina, Pasternaka, Gorkiego, Tolstoja, Grossmana, Solżenicyna, a także Koestlera, Herlinga-Grudzińskiego i wielu innych poznawaliśmy już samodzielnie, bardzo często z książek wydawanych na emigracji lub – już później – z naszego drugiego obiegu.

Straszny obraz z tych lektur się nam wyłaniał. Tępa, despotyczna siła, bez względu na wyznawaną ideologię i czas. Biedny, upodlony naród, mimo tego upodlenia dumny z siły swych władców, bezwolnie poddający się satrapom rządzącym z Kremla. Carowie, Lenin, Stalin, Breżniew. Lista wciąż niemająca ostatniej pozycji, ciągle otwarta. Zawsze gotowi, nie bacząc na nic, łamiąc wszystkie zasady i prawo międzynarodowe, dokonać agresji, wymyślając kłamliwe uzasadnienia, jak 17 września, jak w Czechosłowacji w 1968 roku czy teraz na Ukrainie.

W pięknych dziełach rosyjskich pisarzy, poetów, malarzy i muzyków przebrały nas losy ich autorów. Zsyłki, egzekucje, łagry. Wszelchobecny strach. Współczuliśmy Rosjanom i się ich bałiśmy.

Antoni Słonimski, w *Mojej podróży do Rosji* drukowanej w „Wiadomościach Literackich” na początku lat trzydziestych, opisał moskiewskie sklepy. Chciał je porównać z tymi sprzed rewolucji. „W magazynach i sklepach po prostu mieszczą się urzędy. Za wielkimi szybami siedzą urzędnicy i przykładają stempelki do spiętrzonych stosów papierów. Przepisują kawałki, wkładają w teczki, rejestrują, kopiuje, spinają spinaczami. Zamiast wędlin, butów, zegarków, kapeluszy męskich i wystaw konfekcji widzi się twarze wysuszone jak wędliny, plecy zgarbione nad aktami, całe tłumy urzędników, bo i tu jest wieczne przeludnienie” – pisał Słonimski, człowiek wcale do sowieckiej Rosji nieuprzedzony. Taką ją widział. I taki obraz z dziesiątek innych lektur tkwi w mojej głowie, a może jeszcze bardziej w sercu. Wielki kraj, inny od wszystkich, i w swej inności straszny. ❀

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

